



# Mordercza uczta

Teatr Dramatyczny w pełni la-  
ta odważnie wystąpił z nową pre-  
mierą: była to nowa sztuka An-  
drzeja Wydrzyńskiego „Uczta  
morderców”, z podtytułem „tra-  
gedia buffo z trucizną w kawie”.  
Ktoś, kto tak tytułuje swój o-  
twór, z miejsca naraża się na ty-  
siąc złośliwych dowcipów, z któ-  
rych jeden wybrałem na nagio-  
wek mojej recenzji. Zresztą, nic  
łatwiejszego jak złośliwości i dow-  
cipy, jeżeli do tytułu sztuki Wy-  
drzyńskiego dodać jej treść, pełna  
fatalnych pomyłek i nieprawd,  
nieamacyjnych pomysłów i żenują-  
cych żartów. Trucicielskie wady  
sztuki Wydrzyńskiego skłaniają  
jednak również do kilku uwag se-  
rio, i temu chciałbym się poświę-  
cić.

Te uwagi dotyczą problemu  
współczesnego dramatu obyczajow-  
ego. Swego czasu kilku znanych  
krytyków podjęło obronę tego ga-  
tunku nakłaniając dramaturgów  
do pisania sztuk obyczajowych.  
Rezultaty są jak dotychczas na  
ogół kiepskie. Faktem jest, że o-  
gromna problematyka zmian za-  
szłych w obyczaju i moralności  
społecznej leży odłożeni. Wszys-  
cy wiedzą o co chodzi, i publicy-  
styka walczy te sprawy na la-  
mach wszelkich istniejących ga-  
zet — a teatr milczy. Cóż robić  
— zmieniły się nie tylko obyczaje,  
ale także czasy i gusty, a  
wśród nich i literatura. Ukształ-  
towane i znane konwencje drama-  
tu obyczajowego, powstałe w zam-  
kniętej dawno epoce, jakosć do  
nas nie pasują. Dramaturgia broni  
się przed traktowaniem na serio  
tak zwanych „życiowych” historii,  
bowiem czuje ich fałszywość, ich  
niezdolność przekazania prawd o-  
gólnych, do których tęskni teatr.  
Awangardowy Jonesco zaprawia  
swoje sztuki obyczajowe ironią i  
nadaerializmem. U nas celował w  
tym Witkacy, przedwojenny dra-  
maturg, filozof i dziwak. Tymoteusz  
Karpowicz, autor granej  
niedawno sztuki „Studnie”, broni  
się mieszając „samo życie” z poe-  
zją. Poza tym obronną ręką wy-  
chodzi czasem z impasu kome-

diopisarze, rezygnując jednak z  
wyszych lotów.

Co w tej sytuacji robi Wydrzyń-  
ski? Najgorsze: miesza dramata o-  
byczajowe serio z kiepską farsą,  
co się zwykłym trybem rzeczy  
wywraca, jedno o drugie. Jakby  
ktoś sam podstawił sobie nogę.  
W efekcie okazuje się, że przysłis-  
my do teatru po to, by zaobser-  
wować, jak z nas robią tak zwa-  
nego „balona”. „Po co było to  
wszystko?” — pada pytanie w  
końcu sztuki. No właśnie? „Tylko  
kawa była prawdziwa” — po-  
wiadają aktorzy, trzymając w ręk-  
ach filiżanki napełnionej wonną  
mökką. To nas nie satysfakcyj-  
nuje, myśmy tej kawy nie pili,  
chyba że ktoś sobie kupił na do-  
le w bufecie.

Historia jest następująca: jest  
rodzina, złożona z ojca, matki,  
córką (znudzona młoda rzeźbiarka,  
„przedstawicielka współczesnej  
młodzieży”). Oprócz nich Hania,  
pomoc domowa oraz redaktor Lu-  
cjan starający się o córkę i chulig-  
gan Robert, który zjawia się ci-  
gany przez milicję. W rezultacie  
przeróżnych perypetii okazuje się,  
że: głowa rodziny ma dziecko z

Hanią; Robert jest także jego sy-  
nem; ten nie wiedząc o tym ko-  
cha się we własnej siostrze rzeź-  
biarce; z tymi natomiast zachodzi w  
ciężę z Lucjanem, który w dodat-  
ku jest jej prawdziwym ojcem.  
Do momentu odkrycia tego kazi-  
rodztwa prawie wszystko dzieje  
się naprawdę. Padają bardzo po-  
ważne sformułowania, bohaterowie

nie, gdzie trzeba było nieco ironii  
i dystansu — tam znalazły się od-  
powiednie środki. Podobnie akto-  
rzy: Wanda Łuczycycka, Czesław  
Kalinowski, Wojciech Pokora i  
Jerzy Magórski — delikatnie pró-  
bowali przekazać to, co dawalo  
się ocalić. Najwdzięczniejszą rolę  
miała Barbara Krafftówna (Han-  
ka) i zagrała znakomicie, z wiel-

utworu poważnie rozwikłują żyło-  
we komplikacje odkrywając nam  
swoje skomplikowane charaktery.  
I doprawdy szkoda, że autor nie  
dotrwał z podniesionym czołem  
do końca w tym tonie. Otrzyma-  
libyśmy historię wprawdzie pla-  
ską, nudną i nieprawdziwą, ale  
przynajmniej zaniar byłby szcze-  
ry. A tu nagle ciężar tej rzekomo  
współczesnej obyczajowości okazał  
się widać zbyt duży, bo właśnie  
od tej chwili sztuka w dobrym  
tempie i zupełnie innym, farszo-  
wym tonie rozpada się w drzazgi  
aż do zupełnego końca. Kończy  
się bez wniosku. A było „serio”.  
Wiec po co to wszystko?

Oczywiście również dobrze mogła  
to być farsa od początku. Ale  
decyję powinien podjąć autor od-  
powiednio wcześniej. Teatr, a  
zwłaszcza reżyser Wanda Ła-  
skowska i aktorzy — robili co  
mogli, z wielkim nakładem  
swoich rzeczywiście doskonałych  
umiejętności. Więcej i lepiej nie  
mogli.

Reżyseria była ogromnie sub-  
telna i kulturalna. Gdzie trzeba  
było wyciszyć nazbyt natrętny  
dowcip tekstu, tam było wyciszo-

niem wdziękiem i dowcipem. Naj-  
bardziej zaś niewdzięczną — rolę  
Alicję, młodej rzeźbiarki — de-  
biutantka na deskach Teatru Dra-  
matycznego, tegoroczna absolwent-  
ka szkoły teatralnej, Elżbieta Czy-  
żewska. Ta rola jest tak banalna,  
że ani ugrzyć. Ona jedna nie mo-  
gła sobie pozwolić na żarty, ona  
jedna musiała być prawdziwa od  
początku do końca — prawdziwa  
w nieprawdziwej sytuacji! — bo  
w przeciwnym wypadku wszystko  
padało beznadziejnie. Przecież do-  
póki sztuka była tragedią, była  
jej tragedia, a kiedy przestała nią  
być — to nie dla niej; ona leżała  
otruta na deskach sceny, z dziec-  
kiem własnego ojca w żywocie.  
Czyżewska zniosła ten debust z  
wielkim talentem. Jej debiutanc-  
kie szczęście, że w tak dobrym  
towarzystwie aktorskim i w tak  
dobrym — zwykłym — teatrze.

Teatr Dramatyczny w Warsza-  
wie — Andrzej Wydrzyński: „Ucz-  
ta morderców”. Reżyseria: Wanda  
Łaskowska. Scenografia: Zofia  
Pietrusińska.